Świat powieściowy.

Nr. 115 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Po latach dwudziestu.

IV.

— Historja moja bardzo prosta, da się streścić w kilku słowach — przemówił nieznajomy po krótkim namyśle. — Rodzice moi byli z tych okolic, ludzie znani z uczciwości. Mój ojciec Piotr Torquenié...

— Jesteś więc Jakóbem Torquenié? — krzyknął Armand.

— Nie inaczej — nieznajomy wypatrzył się ździwiony. — Czy pan o mnie słyszałeś?

— Znam doskonale pańską historję — młody adwokat wyprostował się, porzuciwszy dotychczasową minę cokolwiek znudzoną i obojętną. — Zamordowałeś hrabiego de Mortrée i otrułeś własną żonę!...

— Tak! za to zostałem skazany — odrzucił z goryczą. — Skoro pan o mnie słyszałeś, nie potrzebuję powtarzać faktów znajomych.

— Istotnie znam te sprawę szczegółowo — rzekł Armand, a po chwili milczenia dodał z naciskiem: — Uprzedzam nawet pana, iż z trudnością przekonasz mnie o twojej niewinności, gdyż wiem lepiej niż ktokolwiek inny, jak ta sprawa była cudownie prowadzoną, i jaką gorliwość sędzia rozwinął, aby wydobyć z obwinionego zeznania dobrowolne i najzupełniejsze.

— Sędzia!... — rzucił się nieznajomy, jakby ukąszony przez gadzinę. — Sędzia!... O panie! gdybyś wiedział co to był za człowiek, który mnie badał! jakie tortury mi zadawał!... tak! tak! męki piekielne, wierz mi pan!... A jednak broniłem się długo... długo opierałem się... walczyłem... Cóż pan jednak chcesz od człowieka nieszczęśliwego, który cierpi przez sześć miesięcy w ciemnej kaźni, odosobniony od reszty świata, nad którym się znęcają jak w dzień tak w nocy, którego badają co chwila, nicując na wszystkie strony póty, póki głowy nie straci! Oh! gdyby te mury czarne mogły przemówić! gdyby przysięgli byli się choć raz przysłuchali, w tej kaźni małej, ponurej, wilgotnej, której ani na chwilę przez cały ciąg mojej niewoli z oczu nie straciłem, gdyby byli przytomni jednemu takiemu badaniu... zrozumieliby, iż mnie mój kat doprowadził do ostateczności, iż będąc najniewinniejszym, zmyśliłem zbrodnię niepopełnioną, oddałem się bezbronny w ręce moich prześladowców, oszalały z bolu, straciwszy niemal zdrowe zmysły...

— Milcz nieszczęsny — oburzył się Armand. — Nie zniosę, abyś w mojej obecności, sędziego twojego znieważał!

— Oh! takiś pan młody, a taki bezlitośny! — załamał Jakób ręce rozpaczliwie. — Wypędzasz mnie, nie chcesz wysłuchać!... Dobrze! udam się do innego prawnika... Powiedziano mi, iż panowie adwokaci jesteście ludźmi szlachetnymi, iż nie odmawiacie pomocy nieszczęśliwym, skoro was przekonają o swojej niewinności. Gdy z galer wypuszczony szedłem tutaj, aby odszukać cześć moją straconą, nie spodziewałem się, iż pierwszą zaporą stanie mi ten właśnie, którego zadaniem być powinno bronić, a nie potępiać nieszczęśliwych!...

Jakób mówił to wszystko z godnością i spokojem, tylko w głosie jego czuć było łzy tłumione. Widok tego człowieka bolem złamanego był nader rozrzewniający. Dla czegoż Armand zwykle tak szlachetny, dziś był nieczułym jak posąg kamienny? Wszak dla tego li wybrał sobie zawód adwokata, aby bronić uciemiężonych i nieszczęśliwych.

Miał widocznie ważne powody, aby stać się nieubłaganym, aby zarzucać kłamstwo w obec tak wymownej rozpaczy.

— Żegnam pana — wymówił głucho Jakób, ku drzwiom zmierzając i rzuciwszy na młodego adwokata wzrokiem pełnym wyrzutu.

Armand ze wstrętem odwrócił się od niego.

Nagle zatrzymał się już na wychodnem, drgnął, krzyk dziki wyrwał mu się z piersi, i wyciągnął drżące ramiona ku jakiemuś portretowi, zawieszonemu na ścianie naprzeciw biurka, w ramie ciemnej, rzniętej misternie z drzewa hebanowego:

— Ah! Oto jest! tam! tam! nikczemnik! który mnie męczył, mordował, pastwił się nademną! Wróg mój! który mi cześć odebrał, życie złamał, a może i dziecię moje o śmierć lub poniewierkę przyprawił! Oh! kat niegodziwy! gdyby tak żył jeszcze!...

Zdawał się grozić portretowi pięściami zaciśniętemi, Armand atoli siny z gniewu i oburzenia skoczył do niego i porwał za ręce.

— Cicho, cicho nędzniku! — krzyknął gwałtownie. — Ten człowiek najzacniejszy, którego pamięć lżyć się

ośmielasz, był moim ojcem! — dodał z zapałem.

— Ojciec pański! -- Jakób powiódł w okół okiem błędnem. — I już nie żyje?... Ha! teraz rozumiem, dla czego mnie odtrącasz, dla czego okazałeś się takim nieubłaganym!... Jesteś okrutnym jak był twój ojciec!... Bądźcież więc obaj przeklęci!...

Pożegnał portret ostatnim jeszcze ruchem, pełnym wściekłości, i jak warjat z pokoju Armanda wyleciał.

V.

Zajście gwałtowne z Jakóbem Torquenié wywarło jednak wrażenie głębokie na Armanda, z którego nie mógł się otrząść przez resztę dnia.

Walentyna zauważyła rozstrój i smutek narzeczonego, mimo jednak badań najczulszych, do niczego jej się przyznać nie chciał. Utrzymywał, iż nigdy nie czuł się szczęśliwszym, swobodniejszym, tylko silna migrena robi go trochę ponurym. Odszedł do siebie wcześniej niż zwykle. Tuż za nim Jan pospieszył.

-— Przyjacielu! — objął go w pół serdecznie — panna de Trameillan nie darmo się niepokoi. Tobie coś jest, czemś się gryziesz. Nie tylko miłość ale i przyjaźń ma pod tym względem wzrok bystry. Prosiła mnie, abym cię wybadał. Cóż mam zrobić? Co jej powiem?

— Dajcież mi pokój z waszą zbyteczną troskliwością! — Armand uwolnił się z jego objęć niecierpliwie. — Cóż mogła we mnie dopatrzyć Walentyna nadzwyczajnego?!... Głowa mnie rozbolała... ot i wszystko...

— Mnie nie oszukasz! Panna de Trameillan nie może znać powodu twojego zaniepokojenia, ale ja go się domyślam. Od chwili rozmowy z owym nieznajomym, stałeś się posępnym i małomownym... Mój drogi, jeżeli myślisz tak się przejmować każdą historją, opowiedzianą przez klientów, zostaniesz najnieszczęśliwszym z ludzi, największym mazgajem pomiędzy adwokatami!

— Nie drwij, proszę cię! — rzucił się Armand dotknięty do żywego. Postąpił naprzód, jakby chciał odejść, nagle jakby się inaczej namyślił, ścisnął silnie dłoń Jana i rzekł głucho:

— Zresztą... może i lepiej zwierzyć ci się i prosić o radę... Chodź do mojej kancelarji.

Skoro drzwi na klucz zamknął, Armand rzucił się na fotel, złamany przymusem całodziennym, i z ulgą prawdziwą, jednym tchem opowiedział całą przygodę z nieznajomym. Skończywszy, badał wzrokiem Jana, który z miną bardzo serjo, z rękami w tył założonemi, przemierzał pokój wielkimi krokami. Zatrzymał się wreszcie przed Armandem.

— W rzeczy samej dziwna historja! — bąknął z cicha. — Pojmuję teraz, iż musiała poruszyć cię do głębi... Zanim atoli wypowiem moje zdanie, musiałbym rozpatrzyć się w sprawie dokładniej, zbadać okoliczności zbrodni towarzyszące... przejrzeć szczegóły procesu...

— Sprawa była bardzo głośna swojego czasu. Dziennik sądowy opisywał szczegółowo każdc posiedzenie ławy przysięgłych. Jeszcze dziś wieczór każę odnieść do twojego pokoju rocznik oprawny, traktujący o tym procesie. Przeczytasz go sobie i uznasz sam, iż nie zachodzi tu najlżejsza wątpliwość. Ten człowiek przyznał się do wszystkiego, zbrodnię podwójną on popełnił, słusznie zatem został skazany...

— A jednak biedny przyjacielu wątpisz i niepokoisz się okropnie -— Jan wziął go za obie ręce z czułością.

— Nie! nie! — Armand odparł energicznie. — Zaręczam ci, że przekonanie moje jest niezachwiane! Ojciec mój był znanym powszechnie jako sędzia najsprawiedliwszy, uczciwości nieskazitelnej, zręczności w wybadywaniu niezrównanej. Zresztą... ten człowiek przyznał się do wszystkiego dobrowolnie!!!...

Armand powtarzał te słowa bez końca, jakby niemi chciał przekonać sam siebie, iż omyłka była niepodobną, i że plama żadna nie spoczęła na pamięci ojca, dla którego żywił w sercu, obok czułego przywiązania, cześć głęboką.

— Zejdź proszę do salonu i uspokój moje panie — przemówił po chwili do Jana. — Powiedz, żem niewyspany... żem się już położył.. powiedz zresztą co chcesz! byle się nie dowiedziały o tym nędzniku, który zjawił się jak mara złowroga z przeszłości!

Jan spełnił życzenie przyjaciela. Matka przyjęła tłumaczenie z wiarą najlepszą, Walentyna głową potrząsła tylko i smętnie się uśmiechnęła.

— Skoro Armand tak utrzymuje, muszę mu wierzyć. Gdyby miał powód ważny do zaniepokojenia się czemkolwiek, myślę, iż mnie by zwierzył się z tem najpierwej. Wszak mamy iść przez życie ręka w rękę, jak po różach tak i po cierniach.

Walentyna nocowała dziś u pani d'Arçay. Hrabia miał zwidzieć majątek dość odległy, córkę zatem na tych dni kilka, powierzył opiece przyszłej teściowej.

VI.

Jan Gérard pracując po dniach całych w Paryżu, jak prawdziwy motyl nocny przy świetle rewerberów dopiero żyć zaczynał. I teraz więc nie chciało mu się układać do snu tak wcześnie, tembardziej, że noc była prześliczna, oblana niby strugami srebrnemi swiatłem księżycowem, ciepła, wonna i cicha. Wziął od Baptysty klucz od furtki i wyszedł na ulicę.

Część miasta, w której był zbudowany pałac pani d'Arçay, leżała nad rzeką Ille, która w tem miejscu zgina się i tuli w swojem objęciu prześliczne klomby srebrnych topoli i cudownych wierzb płaczących, aż w jej bystrych nurtach kąpiących swoje długie warkocze. Na lewo stary młynek leniwo turkocze i zamyka ostrokąt rzeki. Wzdłuż brzegów, ciągną się domy starożytne, o krokwiach drewnianych, wystających, o dachach szpiczastych, na bok z fantazją przekrzywionych, jak czapka na głowie pijanicy. W niektórych oknach świeci się niemal noc całą, i słychać krzyki, spiewy ochrypłe, tudzież rodzaj muzyki uszy fałszem rozdzierającej, a granej na instrumencie miedzianym, przypominającym cymbały.

Tam to znajdują się liczne szynki dla pospólstwa, dziury używające najgorszej reputacji, gdzie najczęściej zbierają się robotnicy z fabryki sukna „Breton i S-ka“, której budynki olbrzymie i białe kominy, widać na prawo.

Ulica obsadzona topolami służy do przechadzki, a przytem jest jakby żywem panorama widoków coraz się zmieniających. Młyn, stare domy, mała wysepka, dwoma ramionami rzeki ujęta, wszystko to przedstawiało się czarownie w świetle księżycowem.

Jan usiadł zrazu na ławeczce, na promenadzie. Tu jednak nie mógł dumać swobodnie. Był to dzień wypłaty tygodniowej w fabryce i robotnicy nadto hucznie się weselili. Wstał więc i po kładce idącej od młyna, dostał się na cichszą i spokojniejszą wysepkę.

Wyciągnął się i utonął roskosznie na miękiem z wysokiej trawy posłaniu. Położywszy ręce pod głowę, wpatrywał się bezmyślnie w drżące listki na srebrnych topolach, i nie długo popadł w stan jakiejś miłej bezwładności, która chwieje się pomiędzy snem a jawą.

Kroki przyspieszone, pod któremi kładka zatrzeszczała, wyrwały go z błogiej zadumy. Zdziwił się nie mało, gdy nagle o tak późnej godzinie, na samotnej wysepce zjawiła się postać druga, rzucająca cień długi na drzewa przydrożne.

W blasku księżycowem ujrzał mężczyznę wysokiego, który niósł w ramionach kobietę zemdloną, o ile się zdawało, gdyż złożył swój ciężar na trawie, i zaczerpnąwszy wody z rzeki w kapelusz filcowy, nachylił się i począł jej skronie nacierać.

Nie mógł Jan pozostać widzem obojętnym. Podniósł się zatem i bliżej postąpił. Skoro go zoczył ów nowy przybysz, porwał się na nogi zasłaniając sobą kobietę, i wyciągnął ramiona, jakby chciał z nią dalej uciekać. Uspokoił go Jan kilkoma słowami, ofiarując pomoc, jeśliby takowej potrzebował.

Nieznajomy przyjął pomoc z wdzięcznością. Jan zmaczał chustkę własną w wodzie i obłożył nią czoło zemdlonej, z którego krew sączyła się kroplami gęstemi. Podczas tej operacji, opowiedział Janowi całe wydarzenie. Przechodził wzdłuż domów wyżej opisanych, gdy usłyszał po za sobą dzikie krzyki. Uciekała jakaś dziewczyna, a za nią gonił tłum kobiet rozbestwionych i gromadka małych chłopaków. Rzucił się jej na pomoc, gdy w tej samej chwili kamień wprawną snać ręką rzucony, ugodził ją w głowę i padła u jego nóg krwią oblana. Tłuszcza zatrzymała się instynktowo, widząc ofiarę swojego okrucieństwa na ziemi. Wtedy ujął zemdloną w ramiona, i tu się z nią schronił, aby ujść pogoni.

— Nieszczęśliwi muszą wspierać się nawzajem! — potrząsł smętnie głową.

— Zdaje się, iż wraca do życia — szepnął Jan, czując w swojej dłoni drgnienie ręki, którą nacierał. — Nie może tu zostać. Chcesz pan to pomogę zanieść ją do twego domu.

— Do mego domu! — zaśmiał się gorzko. — Czyż ja mam dom jaki?!...

Po chwili milczenia dodał spokojniej:

— Jestem sam bez dachu łaskawy panie... nawet nikt mnie nie chciał na jedną noc przytulić!... Jutro zresztą skoro świt, muszę to miasto opuścić...

Zemdlona wydała jęk głuchy i oczy szeroko roztworzyła.

Jan podniósł jej głowę delikatnie.

Pierwszym jej ruchem było, dotknąć się dłonią miejsca zranionego. Ból musiał jej srodze dokuczać, gdyż znowu jęknęła żałośnie.

Odnowiono kompres i świeża woda o tyle ból uśmierzyła, że chora choć powoli, głosem słabym, mówić zaczęła.

Zobaczywszy obok siebie dwóch ludzi, zupełnie jej nieznanych, opowiedziała im smutne życie swoje w krótkości. Od lat dziecięcych pracuje w fabryce sukna „Breton i S-ka“. Nic nigdy nie zaznała, prócz dzikich prześladowań, znęcań się nad nią współpracowników, i brutalstwa bezlitośnego dozorców. W słowach skargi przebijała się gorycz i nienawiść dla wrogów nieubłaganych. Dusza ta młoda, była już do głębi rozjątrzona niesprawiedliwością i nikczemnością ludzką.

— A wiecie panowie za co mnie biją, męczą, dają przezwiska pogardliwe, obchodzą się ze mną jak z nieboskiem stworzeniem?!... Oto że jestem córką galernika! Czyż moja w tem wina, że mój ojciec był mordercą? Oh! gdybym była przynajmniej mężczyzną!...

Wsparta na jednym łokciu, dźwigając się w górę cokolwiek, pięścią zaciśniętą pogroziła tej stronie miasta, której błyski czerwoniawe odbijały się w nurtach rzeki.

Nagle Jakób Torquenié (gdyż on to przyniósł był dziewczynę) porwał ją za tę rękę groźnie wyciągniętą i przegiął w tył jej głowę, aby padł na nią blask księżycowy, przedzierający się przez drzew konary. Wydał krzyk głuchy, a otoczywszy wiotką kibić dziewczęcia silnem ramieniem, przycisnął namiętnie do piersi, i ucałował skronie skrwawione. Wyrwała się gwałtownie z jego objęć, i zmierzyła go wzrokiem błędnym.

— Oh! jaka ona do matki podobna!... — szeptał sam do siebie. — Moje dziecię! Moja śliczna, maleńka Joasiu!...

Chciał ją znowu ująć w ramiona, cofnęła się jednak przed nim ze wstrętem, odtrącając od siebie o ile siły jej powracające na to pozwoliły.

— Joasiu! Joasiu! Wszak jam ojcem twoim! — zawołał nieszczęśliwy głosem rozdzierającym.

— Moim ojcem?!...

Twarz jej nic się nie wyjaśniła. Cofnęła się dalej, z wyrazem najwyższej trwogi.

— Tak, twój biedny, niewinny ojciec! Niewinny! Czy ty to rozumiesz? Pójdź do mnie dziecię! pójdź... Więc i tobie pokutować kazano za winy ojca urojone? Oh! co za nikczemność! jaka nędza!... Ale teraz wszy-

*

stko będzie inaczej!... Muszą mi cześć wrócić... Nie będą już nami pogardzali!... Muszą cię szanować dziecię moje!... Jakaś ty piękna Joasiu!... Matki portret... Będę cię kochał, będę pieścił za wszystkie te długie lata stracone, biedne moje dziecię!...

Oboje powstali z ziemi. Na twarzy zbolałej skazańca, zawitał gość dawno niewidziany. Niby cień uśmiechu na bladych ustach zaigrał... pierwszy od lat dwudziestu!...

Córka jednak stała nieporuszona jak posąg z kamienia; w oczach jej błysnął ogień dziki.

— Puszczajcie mnie!... puszczajcie! — wykrzyknęła, a ciszej, tonem syczącym, dodała: — Ja was nienawidzę!...

Po tych słowach okrutnych puściła się po kładce jak strzała i wkrótce z oczu im zniknęła.

Jakób załkał głucho i upadł na trawę z twarzą w dłoniach ukrytą.

Scena tak niezwykle dramatyczna wywarła na Jana wrażenie głębokie. Nie miał tych co Armand powodów, aby się nie poddawać wzruszeniu. To też uczuł żywą sympatję dla biedaka, i ruchem szybkim, bez namysłu, podał mu dłoń jak przyjacielowi.

— Ah! panie! — porwał nieszczęśliwy tę dłoń poczciwą w obie ręce i zanim zdołał Jan przeszkodzić, z uniesieniem do ust przycinął. — Pierwszy to raz, że ktoś mnie nie odtrąca, że mi człowiek zacny nie boi się podać ręki!... Raz pierwszy od lat dwudziestu! Ulitowałeś się nademną... o jakiś dobry, jak szlachetny!... Nieprawdaż, że to okropnie, cierpieć lat tyle niewinnie?... Przybywam tutaj... żądam sprawiedliwości, prawnicy mnie wypędzają!... Odszukuję córkę, przeklina mnie i ucieka, jak od zapowietrzonego!... Biedne dziecię! Przebaczam jej to z całego serca — potrząsł głową miłosiernie — od kiedy siebie zapamięta, nauczono ją mną pogardzać, nienawidzieć zbrodniarza, jak przyczynę jedyną jej cierpień... Boże mój! dla ojca i ją prześladują!... a ja ją tak kocham! Marzyłem dla niej o takiej szczęsnej przyszłości, gdy mi ją niebo zesłało...

Jan coraz bardziej rozrzewniony, i przejęty litością dla tego człowieka tak bardzo nieszczęśliwego, nie mógł się dość nadziwić, jak ta fizjonomja przybierała w miarę jak mówił, wyraz coraz szlachetniejszy. Wyrażał się przytem z umiarkowaniem i delikatnością, jakiej trudno było spodziewać się po człowieku, który długich lat dwadzieścia na galerach spędził.

— Jestem więc sam, od wszystkich opuszczony — westchnął Jakób ciężko — a jednak teraz więcej niż kiedykolwiek chcę i muszę uzyskać sprawiedliwość.

Wzrok łzawy zwrócił w stronę, gdzie zniknęła im z oczu Joanna, i podniósł z ziemi kij sękaty wraz z tobołkiem niewielkim.

— Nie zostajesz więc pan tutaj?

— Nie wolno mi. Wyznaczono mi Evreux na mieszkanie. Niby to mnie wypuszczono, jednak wolnym nie jestem. Policja będzie wiecznie stała za plecami, z ręką na ramieniu, póki praw moich w zupełności nie odzyskam. Co to za nędza! Przyszedłem tu, gdzie mnie skazano niewinnie. Jakiż zawód mnie spotkał! Jeden adwokat nie chciał mi uwierzyć i jak psa z domu wypędził, drugi z góry zapowiedział, iż jestem za ubogi, aby trud jego około sprawy tak zadawnionej wynagrodzić...

Po chwili milczenia dodał:

— Jeszcze raz dzięki ci stokrotne szlachetny panie. Nędzarz nieszczęśliwy nie chce ci dłużej czasu zabierać. Przysięgam ci jednak, iż nie omyliłeś się w dobroci twojej. Ręka twoja spoczęła w dłoni uczciwego człowieka.

Skłonił się i chciał odejść. Jan zatrzymał go i rzekł z pewnem wahaniem:

— U nas artystów, pieniądz nie długo popasa w kieszeni. Dzielimy się jednak chętnie, tem trochę co mamy, z potrzebującymi. Przyjm pan więc dobrem sercem, tych kilka franków na początek.

Galernik spuścił wzrok ku ziemi, cały zapłoniony. Po chwili wyciągnął jednak dłoń drżącą i rzekł głucho, biorąc pieniądze:

— Przyjmuję, ale jako pożyczkę, nie jako jałmużnę. Mam chleb w ręku i pracy się nie wstydzę. Czy nie będzie to zbyt wielką śmiałością z mojej strony, prosić pana o wymienienie łaskawe swojego nazwiska, abym w czasie mógł się zgłosić do pana?

— Oto mój adres — Jan wetknął mu w rękę bilet wizytowy.

Za chwilę galernik znikł na zakręcie uliczki, Jan zaś smutny i zadumany wracał krokiem wolnym, tą samą drogą, na której teraz głucha cisza panowała.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Tajemnice wielkiego świata.

(Ciąg dalszy).

XIX.

W miarę jak Fanfreluche zbliżał się do Coulanges, mimo nadmiernego zmęczenia po przebyciu tylu mil, przyspieszał ciągle kroku.

Wiemy już jak przebył drogę z Toulonu, lecz nie wiemy jakim sposobem umknął.

Galernik uciekający po dwudziestu czterech latach, to nadzwyczaj rzadki wypadek.

Fanfreluche przez dwadzieścia trzy lat zaliczał się do rzędu najposłuszniejszych galerników. Nigdy nie był karany więzieniem, ani podwójnym łańcuchem. Dozorcy lubili go bardzo i obchodzili się po ludzku.

Znosząc z rezygnacją los swój, przekonany, że córka jego umarła, biedny kuglarz znosił wszystko z spokojem tych, którzy już niczego nie spodziewają się na tym świecie.

Gdy galernik Balthazar wysłany został do Cayenny,

Fanfreluche będąc już starym, przeznaczonym został do sali szpitalnej.

Pewnego dnia komisarz galer powiedział mu:

— Za twoje dobre sprawowanie i posłuszeństwo, wypisanym jesteś na tablicy ułaskawień i przedstawiony do łaski cesarskiej.

Fanfreluche odpowiedział mu tylko:

— Gdyby mnie nawet uwolniono, gdzież pójdę teraz? Za stary jestem by zarabiać na życie. Wolę umrzeć tutaj.

Munito przyjeżdżał odwidzać go co roku; niekiedy Dolorés towarzyszyła mu.

Te odwidziny dzieci przybranych wystarczały potrzebom jego serca.

Ale pewnego dnia dowiedział się od Munita, że córka jego żyje.

Jego córka!

Wyraz ten był dlań więcej niż życiem i szczęściem!

A Munito mówił mu:

— Córka twoja jest wielką panią, jest bogatą, możną, otrzyma uwolnienie dla ciebie.

Wtedy galery te, gdzie niedawno myślał umrzeć, stały mu się obydne. Chciał widzieć córkę, musi uciekać koniecznie!

Na galerach są zwykle ogromne składy drzewa, nie podobne do zbadania.

W nich to prawie zawsze kryje się galernik, który poweźmie myśl ucieczki.

Fanfreluche zwierzył się dwom towarzyszom i ci go nie zdradzili.

Trzy tygodnie krył się w tych sągach drzewa, żywiąc się przez ten czas okruszynami chleba i wodą źródlaną. Potem w noc ciemną przepłynął rzekę, dopłynął do brzegu i uciekł z miasta. Resztę wiemy.

Od miesiąca Fanfreluche szedł noc i dzień bez odpoczynku prawie.

Dowiedział się w Auxerre, gdzie go nikt nie poznał, że pani de Planche-Mibray przybyła przed kilku dniami i mieszka w zamku.

To imię de Planche-Mibray obudzało w umyśle starca straszne wspomnienie.

Pan de Planche-Mibray był przyjacielem nędznika, który był powodem wszystkich jego nieszczęść.

Ale czyż nie on także dołożył wszelkich starań i użył wszystkich wpływów, aby wyrwać z rąk kata głowę jego?

I człowiek ten poślubił jego córkę!

O! z pewnością mówił jej często o nim, a gdy przyjdzie do niej, rzuci mu się ona na szyję, wołając:

— Mój ojcze!...

I wyszedłszy z Auxerre, Fanfreluche nie czuł już prawie znużenia, i cieszył się nadzieją.

Jednakże wczoraj wieczór, gdy pominął miasteczko Mailly i wszedł w dziką dolinę, gdzie później zdybał Szymona Balthazar, niepokój i bojaźń ogarnęły go.

Noc się zbliżała, Coulanges było jeszcze daleko i przyszedł do przekonania, że mimo największego pośpiechu, nie zajdzie do zamku de Planche-Mibray przed północą.

Jak też tam będzie przyjęty? Czy córka rzuci mu się na szyję?

Ta bojaźń i niepokój zniewoliły go do przyjęcia gościnności rodziny Balthazar i do dotrzymania obietnicy, jaką uczynił swemu koledze z galer.

Wchodząc do oberży pod Sową, pomyślał sobie:

— Wyjdę jutro przededniem i przyjdę do Coulanges ze wschodem słońca.

Jednakże jak widzieliśmy inaczej się stało.

Rodzina Balthazar chciała mieć natychmiast pieniądze zakopane przez ojca. Potem stara powiedziała niespodzianie galernikowi, że pani de Planche-Mibray wychodzi za Manuela de Maugeville.

Piorun padający u nóg jego nie byłby go bardziej przeraził.

To imię de Maugeville obudziło w jego sercu straszne i bolesne wspomnienie przeszłości, a zagrzebane w mgle czasu.

Przez drogę gdy szedł z rodziną Balthazar w celu poszukiwania pieniędzy i potem idąc dalej z Szymonem, nienawiść i zemsta wrzały głucho w duszy starego kuglarza.

Nie myślał już o uściskach, czułych pieszczotach i radości z zobaczenia możnej i pięknej pani, dziecka, nad którego kołyską nachylał się niegdyś z okiem rozrzewnionem. Jedyną jego myślą i chęcią było teraz pójść do tej kobiety i powiedzieć jej:

— Jesteś moją córką, zakazuję ci poślubić bratanka człowieka, który był przyczyną śmierci twojej matki!

Rozmyślał jeszcze ciągle nad tem, gdy się rozszedł z Szymonem Balthazar. Oczy błyszczały mu dziko, a serce wrzało nienawiścią; zdawało mu się, że nigdy nie zajdzie dość prędko.

A jednakże gdy zbliżył się do małego miasteczka Coulanges nad l'Yonną, usposobienie jego i myśli zmieniły się raptownie i niespodzianie.

Dzień już się zrobił zupełny, słońce wschodziło prześlicznie, a światło jego blado różowe zdawało się budzić ze snu na pół uśpione jeszcze pagórki i doliny. Krople deszczu srebrzyły się na łąkach, drzewa szkliły się w mgle przeźroczystej, a dzwonek wzywający na Anioł Pański dźwięczał w oddali.

Natura budziła się ze snu spokojna, pogodna, uśmiechnięta, a ziemia oczekiwała pierwszych promieni słońca, jak gdyby błogosławieństwa boskiego.

Ta cisza głęboka, ten dzwonek w oddali, wzywający pobożnych na Anioł Pański, to niebo pogodne, to powietrze świeże i czyste, po gwałtownej burzy nocnej, wszystko to oddziałało na starca i dziwnie go rozmarzyło.

Nienawiść jego zgasła, gniew się uśmierzył, a miłość wielka, dla której porwał łańcuchy, narażał się na tysiące niebezpieczeństw, na tak okropne znużenie, miłość ojcowska, najsilniejsza ze wszystkich, opanowała jego serce.

Jego córka! miał obaczyć swoją córkę!

Wchodząc do miasteczka Coulanges przechodzi się koło małego domku, rodzaju szynkowni, gdzie zwykle zatrzymują sie marynarze i flisacy.

Gdy Fanfreluche tamtędy przechodził, brama była już otwarta. Człowiek jakiś toczył beczkę przed domem.

Młoda kobieta siedziała na progu z dzieckiem u piersi.

Miłą była i ładną, a miłość macierzyńska jaśniała w jej oczach.

Stary galernik spojrzał z kolei na twarz uczciwą i szczerą tego człowieka, potem na jego żonę wdzięcznie uśmiechniętą i stanął.

Biedni ludzie w wielkiem wzruszeniu zwykle w winie lub wódce szukają odwagi.

Fanfreluche w miarę jak zbliżał się do zamku de Planche-Mibray, czuł że sił mu ubywa i niepokój coraz większy go opanowuje.

Niedawno spieszył się niecierpliwie, a teraz chciałby być jeszcze daleko.

Widząc go że stanął i wacha się, młoda matka zapytała:

— Czy potrzebujecie czego mój staruszku?

— Napiłbym się chętnie kieliszek wódki moje dziecię...

— Wejdźcie więc poczciwy człowieku — odezwał się na to szynkarz i zostawił beczkę.

Oboje mieli tak uczciwą minę, że Fanfreluche uspokoił się.

Wszedłszy położył czterdzieści sous na stole koło drzwi.

— Schowajcie wasze pieniądze starcze — rzekła młoda kobieta. — Nie wyglądacie na bardzo szczęśliwego. Biedni ludzie muszą się wspierać wzajemnie.

— Czy jesteście flisakiem? — zapytał szynkarz.

— Nie, sypię groble i tamy — odpowiedział Fanfreluche.

— I gdzie tak idziecie? Czy szukacie roboty w Coulanges? — odezwała się znowu żona szynkarza głosem przychylnym.

— Spodziewam się znaleźć jaką robotę — odrzekł starzec.

— I znajdziecie z pewnością — mówił szynkarz — jeżeli mnie posłuchacie. Idźcie do zamku de Planche-Mibray, o ćwierć mili ztąd, na prawo. Tam zawsze potrzebują robotników. Pani baronowa nie dawno przyjechała Grasują ścieżki, porządkują ogród, wycinają drzewa w parku.

Fanfreluche oparł się o stół, bo słabo mu się zrobiło i nogi się pod nim zachwiały. Wypił potem kieliszek jeden i drugi, aby lepiej ukryć wzruszenie.

— Pani baronowa jest bardzo litościwą — ciągnął dalej po chwili szynkarz. — Wszyscy ją uwielbiają w okolicy, każdy jej ma coś do zawdzięczenia. A ktokolwiek zapuka do zamku de Planche-Mibray, zawsze jest dobrze przyjętym. Możecie się tam udać na pewne.

Fanfreluche czuł że łzy cisną mu się do oczu.

— Udajcie się do pana Berdin, rządcy — mówił jeszcze szynkarz. — Powiedźcie, że to ja was przysłałem. Nazywam się Wincenty Alfons.

— I nie będziecie żałować mój staruszku — dodała szynkarka.

— No! jeszcze jeden kieliszek — rzekł szynkarz. — Za wasze zdrowie ojcze i za zdrowie pani baronowej de Planche-Mibray.

Fanfreluche wyszedł z tego miejsca chwiejąc się.

Powiedziano mu, że baronowa była opatrznością okolicy, a ta baronowa była jego córką!

Nie poszedł już wprost do Coulanges, ale szedł drogą koło rzeki. Gdy wszedł na most, zatrzymał się znowu.

W tem miejscu l'Yonna skręcała się nagle i widać było zdaleka na wzgórku wznoszący się majestatycznie zamek de Planche-Mibray, okolony wspaniałym parkiem, z wieżyczkami szpiczastemi, zbudowany z cegły różowej.

Starzec uczuł jak gdyby jakiś zawrót. Wódka, którą pił, uderzyła mu do głowy, a serce bić poczęło gwałtownie.

Niedaleko za mostem była ścieżka. Ścieżka ta prowadziła przez łąki i wychodziła na drogę, skręcała koło winnicy i zdawała się być drogą najkrótszą do zamku. Fanfreluche poszedł tą ścieżką,

Słońce świeciło teraz w całym blasku, ptaszki śpiewały w krzakach, a wieśniacy pracowali w polu. Po ciszy nocnej nastało czynne życie dzienne.

Fanfreluche próbował przyspieszyć kroku, ale był tak wzruszony, że iść nie mógł. Oczy wlepione miał w okna zamku, które właśnie ktoś otwierał i zdawało mu się, że w którymś z nich musi zobaczyć głowę kobiecą.

Nareszcie wszedł w aleję. Była to aleja z starych lip stuletnich. Doszedłszy do końca alei widać było podwórze zamkowe. Brama była otwarta.

Fanfreluche spostrzegł konia przed gankiem, którego służący trzymał za cugle. Siodło na nim było kobiece. Serce starca zabiło gwałtownie, zaćmiło mu się w oczach. To ona miała wyjeżdżać. I uciekł prędko z alei, a ukrywszy się w pobliskim krzaku, szepnął:

— Muszę najpierw zobaczyć ją zdaleka!

W pięć minut potem, drzwi zamku otwarły się i młoda kobieta w ubraniu amazonki skoczyła lekko na konia, a wielki chart szkocki, jej towarzysz zwykły bezwątpienia, przybiegł do niej wesoło szczekając.

Wskoczywszy na konia pani de Planche-Mibray — gdyż była to ona — wyjechała z podwórza, kierując się zwolna ku alei, bo droga była nieco spadzista.

Nagle usłyszała stłumiony krzyk.

Fanfreluche zemdlał w chwili, gdy przejeżdżała koło krzaka, za którym się ukrył, tak wzruszenie starca było wielkie. Był to żywy portret matki, jak mówił Munito, a żona, którą zamordował, była zawsze żywą w głębi jego serca zwiędłego.

XX.

W dziesięć minut potem, Fanfreluche leżał w wygodnem łóżku, w głębi parku de Planche-Mibray, w domu ogrodnika. Baronowa usłyszawszy ten krzyk, a raczej to westchnienie starca, podjechała ku temu miejscu.

Spostrzegła biedaka okrytego łachmanami, żebraka bezwątpienia, który może zemdlał z głodu, ale nie przypuszczała, aby człowiek ten mógł mieć jaki związek z cyganami, których wspomnienie ścigało ją ciągle jak zmora, odkąd opuściła Paryż.

Młoda kobieta wróciła szybko do zamku, zawołała ogrodnika i chłopców i kazała zanieść biednego starca do małego pawilonu, który się znajdował w głębi parku uroczego.

Zemdlenie starca trwało dość długo. Wezwano pospiesznie starego lekarza z Coulanges, który oświadczył, że człowiek ten ma katalepsją.

— Nie ma to nic niebezpiecznego — mówił lekarz do baronowej — nie zemdlał on także z braku pożywienia. Musiał jeść przed kilkoma godzinami i niedawno pił wódkę.

— Ależ kochany doktorze — odrzekła baronowa — na pół godziny przedtem, nim po pana posłano, robiono co tylko można, aby przyszedł do siebie.

— I nie odzyska przytomności, aż za jakie pół godziny, na pozór przynajmniej, bo słyszy wszystko co mówimy.

— Doprawdy?!

— Nie jest to zemdlenie pani baronowo, jest to katalepsja.

— Trudne do zrozumienia doktorze.

— To wyrażenie medyczne. Człowiek ten, który jak widać żył w wielkim niedostatku, był nader znużony długą drogą, spojrzyj tylko pani na jego nogi spuchnięte i zranione, człowiek ten doznał z pewnością wielkiego wzruszenia, które spowodowało paraliż chwilowy ciała.

— Ale mówisz pan, że on słyszy?

— Tak sądzę, słuch jest bowiem jedynym zmysłem, którego nie dosięga katalepsja.

— I jak długo myślisz doktorze potrwa ten stan? — zapytała baronowa z troskliwością.

— Mówiłem pani, z jakie pół godziny.

Baronowa mówiła dalej:

— Człowiek ten nie jest tutejszym, widać to po jego ubraniu. Jakim sposobem znalazł się w alei? Dlaczego skrył się w tym krzaku? Czy byłby to jaki złoczyńca? Otóż czego ani ja, ani pan, nie wiemy doktorze.

— Proszę pani — odezwał się ogrodnik, który jeździł po doktora — człowieka tego widziano dziś rano w mieście. Wstąpił na kieliszek wódki do Wincentego Alfonsa, i on to poradził mu, aby szedł do zamku prosić o jaką robotę.

— To mnie uspokaja — rzekła pani de Planche-Mibray. — Doktorze, polecam ci tego biednego człowieka...

— Będę miał o nim staranie pani baronowo — odpowiedział stary doktor.

Nie omylił się lekarz sądząc, że Fanfreluche, który nie mógł się ruszać, ani oczu otworzyć, musiał słyszeć. Fanfreluche słyszał w istocie. Głos tej, którą miał za swą córkę, dolatywał do jego ucha jak muzyka niebiańska. Dokąd była przy nim, nie starał się zwalczyć tego otrętwienia fizycznego, które go opanowało, ale gdy usłyszał że odchodzi, gdy szelest jej sukni oddalał się a nareszcie ucichł zupełnie w alejach parku, wtedy zrobił gwałtowne wysilenie i nagle oczy otworzył.

— A co, nie mówiłem — zawołał lekarz śmiejąc się — że to nie potrwa długo?!

Otworzywszy oczy, starzec potem ruszył ustami.

— Jak się czujecie biedny człowieku? — zapytał doktor.

— Dziękuję — odpowiedział Fanfreluche — nie cierpię, ale pić mi się chce.

Miał gorączkę, a gorączka ta powiększała się w miarę, jak katalepsja ustępowała.

Lekarz dał mu napój uśmierzający i usypiający.

Gdy starzec wypił, doktor odezwał się do niego:

— Jesteście człowieku w domu, w którym będą mieli staranie o was, a pani baronowa nie odmawia nigdy pomocy nieszczęśliwym. Bądźcie spokojni, próbójcie zasnąć, przespicie się parę godzin, a ja odwidzę was wieczór.

Fanfreluche spojrzał na niego ulegle. Pierwszy raz od dwudziestu czterech lat, nieszczęśliwy człowiek leżał w łóżku. A łóżko to córka jego mu dała. Polecenie lekarza było zresztą niepotrzebne. Fanfreluche nie myślał wcale iść dalej. Czyż nie przybył do celu swej podróży?

Doktor odszedł i z jego rozkazu zostawiono starca samego. Biedny człowiek marzył roskosznie, oczy mając roztwarte, o tej pięknej, młodej pani, którą widział zaledwie, ale której głos melodyjny i sympatyczny słuchał z godzinę. I mówił do siebie:

— Pojechała dalej na spacer, ale z powrotem przyjdzie mnie odwidzieć. Och! jakże ona piękna i podobna do matki!...

I rachował minuty przewracając się z roskoszą naiwną w tym wygodnem łóżku, zaścielonem biało, w którem go położono. Ale napój uśmierzający, odpędzając gorączkę, wywarł wkrótce swój skutek usypiający. I choć starzec silił się jak mógł, aby nie zasnąć, i niecierpliwił się, chcąc obaczyć panią de Planche-Mibray, nie mógł jednak oprzeć się snowi i oczy mu się zamknęły.

. . . .

Sen starca trwał aż do wieczora. Doktor powrócił, a zastawszy go śpiącego spokojnie i mocno, nie chciał mu przeszkadzać. Nakazał nawet aby go nie budzono i odszedł obiecując powrócić nazajutrz.

Wieczorem Fanfreluche nareszcie otworzył oczy. Był sam w pawilonie i noc już była, sądząc po lampie,

która błyszczała na stole. Sen ten pokrzepiający wzmocnił go, a umysł odzyskał całą przytomność.

Wiedział że był u swej córki! Może tu była podczas jego snu, i kochany anioł nakazał, aby go niebudzono...

Nagle usłyszał kroki jakieś w parku niedaleko pawilonu i szelest sukni kobiety jakiejś pewnie, jej bezwątpienia. Fanfreluche uczuł gwałtowne bicie serca.

Drzwi pawilonu otwarły się wkrótce potem i pani de Planche-Mibray okazała się oczom olśnionym starca, jak gdyby jakie nadziemskie zjawisko.

— Jakto? — zawołała wchodząc — zostawiono samego tego biednego człowieka? To do niewybaczenia!

— Mój poczciwy człowieku — ciągnęła dalej, zbliżając się do łóżka — dziwi was może, że się tu znajdujecie... Ale uspokójcie się... Bóg zsyła zawsze przyjaciół tym, którzy cierpią. Jestem panią zamku, w którym chcieliście prosić o robotę... Dostaniecie ją, skoro wyzdrowiejecie, ale teraz musicie być spokojni... a ja będę czuwać, aby wam niczego nie brakło.

Wszystko to wypowiedziała prędko, wpatrując się w niego z łagodnością. On słuchał ją z uniesieniem, a z piersi wyrywał mu się okrzyk:

— Moja córko!

Lecz nie wyrzekł tego słowa, tylko usta jego wyszeptały:

— O! pani... jesteś dla mnie bardzo dobrą...

— Ci, którzy cierpią, są naszymi braćmi — odrzekła.

Potem zdjęta ciekawością i litością, siadła koło łóżka i zapytała:

— Wracacie pewnie bardzo zdaleka, nieprawdaż?

— Tak pani.

— I zemdleliście ze zmęczenia?

— Może...

— I dawno już jesteście bez roboty?

— Bardzo dawno — szepnął Fanfreluche.

Przed chwilą nim weszła mówił do siebie:

— Jeżeli nie odgadnie kim jestem, dam się jej poznać. Ale ona odgadnie z pewnością!

Teraz drżał. W obec tej kobiety młodej i pięknej, szlachetnej i bogatej, kobiety, którą nazywano baronową de Planche-Mibray, czemże był on, jak nie żebrakiem okrytym łachmanami, gorzej niż żebrakiem, bo człowiekiem, którego ramię nosiło piętno niezatarte, zbrodniarzem uciekłym z galer!...

I zawstydził się swojej niesławy po raz piewszy może, bo dotąd nigdy nie rumienił się swej kary, sądząc, że zabijając żonę niewierną i jej uwodziciela, był w swojem prawie.

— W jakim wieku jesteście mój przyjacielu? — pytała dalej baronowa.

— Mam lat sześćdziesiąt.

— Czy macie żonę, dzieci, rodzinę?

Pytanie to wystawiło go na straszną próbę. Ale zapanował nad sobą.

— Miałem żonę — odpowiedział — ale umarła...

— I nie macie dzieci?

— Niestety! pani... mam jedno... Ale oddawna rozłączony z niem jestem!

— Czy was opuściło?

— Nie, nie, ja sam rozłączyłem się z nią.

— Więc to córka?

— Tak, pani.

Fanfreluche drżał i głos mu zamierał na ustach bladych.

— Ale wasza córka jest młoda pewnie — odrzekła pani de Planche-Mibray — mogłaby czuwać nad wami w starości.

Nieszczęśliwy trząsł się, a serce rozpierało mu piersi. Baronowa mówiła dalej:

— Trzeba abyście zbliżyli się do waszej córki mój przyjacielu.

— Właśnie to chciałem — rzekł głosem słabym.

— Szliście do niej?

— Tak, pani...

— A więc starajcie się o wasze wyzdrowienie poczciwy człowieku, zostańcie tu tak długo, jak potrzeba do wzmocnienia sił waszych. A gdy będziecie w stanie wyruszyć w drogę, dam wam trochę pieniędzy.

Starzec podniósł się nagle na łóżku.

— Nie potrzebuję iść dalej — odrzekł — bo jestem u celu mojej podróży.

— Czy jesteście może z tej okolicy?

— Nie... pani... ale moja córka... jest tutaj!...

I prędko dodał:

— Moja córka! Och! gdybyś pani wiedziała jak ją kocham... z jaką radością znosiłem trudy dalekiej podróży, myśląc ciągle o tem, że ją obaczę... bo nie wiesz pani, opuściłem ją przeszło od lat dwudziestu! Była jeszcze wtedy bardzo maleńką, prawie w kołysce.

Pani de Planche-Mibray drgnęła.

— I odtąd jej nigdy nie widziałeś? — zapytała.

Fanfreluche przed chwilą pojmował swoją hańbę, była nawet chwila, w której myślał nie odkryć nigdy swojej osobistości, opuścić ten dom, uciec i powrócić na galery nic nie wyznawszy. Ale wzruszenie straszne, jakiego doznawał, uniosło go, oczy zalały się łzami, konwulsyjne łkanie wyrwało się z piersi i zawołał:

— Ale teraz widzę ją pani, widzę!

Gdyby przepaść otwarła się nagle przed baronową, nie byłaby się cofnęła gwałtowniej, ani rzuciła, z większym przestrachem. Stała tak nieporuszona, z okiem obłąkanem, usty otwartemi, a głos zamarł jej w piersiach.

Fanfreluche uniesiony teraz i rozgorączkowany, zawołał wyciągając ręce do niej:

— Więc nic ci nie powiedziano... więc nic nie wiesz?... Moja córko!... moja córko!...

Słowa te były iskrą, która sprowadziła eksplozję.

Biała jak posąg pani de Planche-Mibray, cofnęła się aż do drzwi, wołając:

— Ty! to ty! więc to ty?!

— Jestem twoim ojcem — szepnął składając ręce, bo wpatrywała się teraz w niego wzrokiem palącym i strasznym.

— Kłamiesz — zawołała — kłamiesz! Jesteś Fanfreluche, galernik. Jesteś mordercą mojej matki, ale ja nie jestem twoją córką!...

Wyskoczył z łóżka na pół nagi i chciał upaść przed nią na kolana. Ale ona go odepchnęła.

— Precz! — wołała — precz! Jestem córką Maugeville'a a nie twoją. Precz zabójco mojej matki!

W baronowej de Planche-Mibray ozwała się znowu krew cygańska.

Ale to imię Maugeville rozjątrzyło kuglarza; oczy krwią mu nabiegły, czoło się zmarszczyło, nienawiść i gniew zawrzały w nim, i prostując się groźny, nieprzytomny i gwałtowny, śmiał podnieść rękę na tę, którą nazywał swoją córką, wołając:

— Nędznico! zakazuję ci wymawiać to imię przy mnie!

Baronowa rzuciła się wstecz gwałtownie.

— Do mnie! na pomoc! — zawołała.

— Zabiję cię raczej, a nie pozwolę być żoną Maugeville'a! — ryczał galernik, który zasłonił sobą drzwi pawilonu, aby przeszkodzić jej wyjść.

Ale nagle drzwi te wyleciały z łoskotem, człowiek jakiś ukazał się w nich i rzucił się na starego kuglarza. Człowiekiem tym był Manuel de Maugeville, narzeczony baronowej de Planche-Mibray, i on to teraz przygniótł kolanem pokonanego galernika.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WDOWIEŃSTWO ALINY.

(Ciąg dalszy)

Alina błądziła chętnie po ścieżkach najmniej uczęszczanych cudownych ogrodów, tak licznych w Rzymie, których właściciele, z gościnnością iście królewską, pozwalają na zwidzanie tychże bądź w dnie wyznaczone całej publiczności, bądź niektórym wybranym o każdym czasie za kartą wstępu. Czynna i ptaszek ranny, nie tak jak pani de Vesore, która spała zwykle do południa, Alina korzystała z pozwolenia, aby w rannych godzinach, w szpalerach pełnych cieniu i świeżości, bądź czytać, bądź rysować, bądź też dumać smętnie, z okiem w dal zapatrzonem i gubiącem się w alejach zakończonych posągami z marmuru lub fontannami. Lubiła także patrzyć z jakiej terasy marmurem wyłożonej, na słońce zapadające powoli na widnokręgu i oświetlające purpurową część owej Campanii, w której cudowne ruiny starożytne, przerywają monotonność olbrzymiej płaszczyzny, zakończonej wieńcem pagórków o linjach pełnych klasycznej harmonji. Jest jedna taka terasa obok prześlicznej willi, którą Włosi nazwali Belrespiro, jest tam również lasek świerkowy, opiewany przez poetów, gdzie można dumać swobodnie jakby w samej świątyni milczenia. Są i ulice długie bez końca, z mirtów i drzew laurowych, które łączą się z dolinką, wyglądającą całkiem dziko i zamkniętą wałem z olbrzymich aloesów. Wszystko to służy za tło do ślicznego Casino, zbudowanego przez Algardi'ego. Tam właśnie dążyła Alina z miss Ruth pospołu. Wkrótce jednak uwolniła się nawet i od tej towarzyszki nieodstępnej, gdyż i ona, choć tak dyskretna, przeszkadzała jej w dumaniu. Zostawiwszy miss Ruth na jednej z ławek kamiennych z robotą haczkową, którą wiecznie miała w kieszeni na pogotowiu, zapuściła się sama jedna w głąb szpalerów cienistych.

Szła na los szczęścia, niosąc w rękach kilka gałęzi głogu, osypanych kwieciem białem i puszystem. Okiem bezmyślnie w jeden punkt utkwionem, goniła myślą raczej obrazy, które tworzyła jej wyobraźnia, niż widoki cudowne, oblane blaskiem słonecznym. W krzakach bzu kwitnącego słowik zawodził melancholijnie, koniki polne, niby cymbaliści niezmordowani, odzywały się głośno i przeciągle z pod każdego niemal źdźbła trawki. Upał prawdziwie południowy i wszystkie te roskosze, rozlane w naturze, opanowywały powoli jej serce i upajały niby silny narkotyk. Zdawało jej się, że w zielonej gęstwinie słyszy jedną i tę samą wyrocznię: „Trzeba kochać, trzeba kochać!“ Brzęk owadów, świegot ptasi, wszystko zdawało się powtarzać te słowa jakby wierne echo. Nadaremnie starała się tychże nierozumieć, nadaremnie zamykała serce przed tym czarem upajającym, ogarniał on ją zewsząd. Oddychała nim ziemia, wydzielając z łona swojego wonie przenikające pod palącemi słońca promieniami, szeptały miłośnie fontanny, w baseny marmurowe spadające, drżały listki na drzewach wietrzykiem lekko muskane, jak drży serce dziewicze, przeniknione po raz pierwszy ogniem namiętnym; nawet skromna mimoza otwierała do słońca listki rosą skropione i jakby łzami brylantowemi połyskujące.

W obec tych zapałów miłosnych w całej naturze, jeszcze smutniej wydała jej się własna młodość, tak samotna i bezbarwna! Dla czegoż ona jedna nie miała zaznać tych roskoszy? Dla czego nią wzgardzono... opuszczono?...

— Gdyby mógł się tu zjawić! — pomyślała. — Co za przypuszczenie niedorzeczne, niewykonalne! Jakże mogło powstać w jej głowie coś podobnego? A choćby się to stało, mogłażby mu przebaczyć?... Wahała się z odpowiedzią, irytując się własną słabością. Aby znaleźć broń przeciw niemu, wyobraziła sobie, jak słodkie chwile pędzić musiał w tym samym ogrodzie u nóg innej kobiety, gdzie ona by rada błądzić, do jego piersi przytulona. Skoro jednak pozbywała się obrazu Gastona, inna postać nasuwała jej się przed oczy natrętnie i przerywała jej dumania, postać księcia Druckoj. O! żeby mogła schronić się gdzie przed tym człowiekiem, znaleźć pomoc przeciw niemu. Nie wiedziała dla czego właściwie, ale go się lękała i byłaby się chętnie wyraziła o nim, jak Marguerita o szatańskim Fausta towarzyszu:

— Drżę na jego widok, czuję, iż nic go tu na ziemi

nie obchodzi. Nosi on na czole, głoskami płomienistemi napisane, iż nie jest w stanie ukochać żadnej, żadnej istoty... jego obecność mnię przeraża... serce mi nieledwie bić ustaje na jego widok...

— Alino! — usłyszała tuż obok siebie głos stłumiony, głos, którego się właśnie tak bardzo lękała.

Zadrżała, wypuściła z rąk kwiaty i żywo głowę odwróciła. O krok od niej stał książe. To nagłe zjawienie, tak było dziwnie połączone z jej myślami najtajniejszemi, iż musiało uderzyć ją i zaniepokoić. Blada, zmięszana, chciała coś powiedzieć, a głosu z piersi ściśnionej wydobyć nie mogła.

— Jak ja panią przestraszyłem! — wykrzyknął książe.

— Przestraszyć?... to nie... — wyjąkała — zdziwiłam się tylko niesłychanie... nie słyszałam wcale kroków pańskich.

— Mech i murawa odgłos kroków pochłaniają. Szedłem zresztą cicho, nie chcąc przerywać pani głębokiej zadumy.

Rzuciła w koło wzrokiem niespokojnym. Teraz dopiero spostrzegła, jak się bardzo oddaliła od miss Ruth. Idąc naprzód, w myślach zatopiona, zaszła prawie na koniec lasu, gdzie głucha cisza panowała.

— Nie chciałem przerywać biegu myśli twoich pani — powtórzył książe z naciskiem — byłem jak zawsze cierpliwy i pełen uszanowania Alino! — rzucił się ku niej namiętnie, drogę zastępując, jakby w obawie, żeby mu nie uciekła i z chęcią widoczną zatrzymania jej koniecznie. — Ten przymus ustać musi... nie potrafię znieść go dłużej... możesz mnie wypędzić jutro, ale dziś musisz mnie wysłuchać!

— Cóż się stało? Czego pan żądasz? — spytała głucho, nie mogąc tchu złapać ze zbytniego wzruszenia. Starała się okazać spokojną, ale serce biło w piersi jak młotem, i czuła jak twarz jej pała rumieńcem. Nigdy jeszcze, żaden mężczyzna, nie przemawiał do niej tonem tak namiętnym, a jednocześnie najczulej błagającym, tonem więcej znaczącym, niż słowa same, i który musi zrozumieć kobieta, choćby była dziewicą, dzieckiem nawet najmniej doświadczonem. Zdawało się jej, iż burza straszna zrywa się w koło, i unosi ją z sobą.

— Czego chcę? Czego żądam? Co za pytanie! — uśmiechnął się książe z goryczą. — Czyż nie dowiodłem pani tysiące razy, od kiedy się znamy, że jestem jej niewolnikiem, że nie śmiem niczego się spodziewać, nic żądać, taką bojaźnią przenika mnie jej czystość anielska! Niestety! ja to drżę przed tobą! Nie patrz tak srogo na mnie, nie oddalaj się rozgniewana, jesteś dla mnie świętością nietykalną, pozwól sobie powiedzieć tylko raz jeden, jedyny! z uczuciem, które nie może cię obrazić, które stanowi niejako moje wyznanie wiary, że cię kocham!... kocham!...

Ujął ją za jedną rękę, okrywając tęże ognistemi pocałunkami. Ten zapał bynajmniej nie licował z zapewnieniami o uszanowaniu i czci głębokiej. Alina wydała krzyk trwogi, wyrwała mu rękę z oburzeniem, a patrząc śmiało w oczy, zawołała:

— Jeżeli jestem dla pana nietykalną, po cóż tuś się znalazł? Po co chwytasz moją rękę i nadużywasz mojej samotności, mówiąc do mnie tonem, któregobyś nie śmiał użyć w obecności siostry twojej?

— Jesteś pani tak dobrze strzeżoną, iż miałem prawo skorzystać z chwili, która może się już nie powtórzyć, chyba że sama tego zechcesz — dodał zuchwale. — To co chcę zresztą pani powiedzieć, może tak dobrze moja siostra, jak i cały świat słyszeć, skoro mnie upoważnisz, abym to w obec wszystkich powtórzył. Cóż pani przypuszczasz? Serce, które składam u nóg twoich w tej chwili, chcę ci oddać na wieki, wraz z mojem nazwiskiem, z mojem życiem, ze wszystkiem czem jestem, tak w złem jak w dobrem. Dotąd zło przeważało, nie łudzę cię bynajmniej! i czuję się chwilowo niegodnym ciebie, zniknie jednak na zawsze, nie zostawiając śladów po sobie, jeżeli zechcesz tylko oddać mi tę drogą rączkę, którą, że śmiałem ująć w dłoń moją na chwilę, tak mi srogo wymawiasz! Będę takim, jakim ty zechcesz żebym był!...

Sam wąż kusiciel, nie byłby znalazł słów potężniejszych, aby podrażnić kobietę w jej próżności, aby wzbudzić w niej litość. Zawahała się... taki był teraz pokorny, a tak smutny!...

— Nie jestem wolną — szepnęła — wiesz pan o tem dobrze!

— Jesteś nią pani! — wzkrzyknął — jesteś wolną przed Bogiem, przed ludźmi, przed własnem sumieniem! Zdrada niegodna, haniebna, rozwiązała panią z przysięgi, której jedna strona niedotrzymała.

Potrząsła przecząco głową.

— Małżeństwo może być unieważnione. Wiem o tem na pewno, i to mnie tylko ośmieliło mówić pani o mojej miłości.

I zaczął mówić na nowo, nie będąc w tem przez nią przeszkodzony. Nikt nie potrafił z równą wymową temat ten obrabiać. Książe znał się na miłości, od jej odcieni najdelikatniejszych, aż do porywów i szałów najbardziej namiętnych.

Najohydniejszem u każdego uwodziciela, jest to właśnie, iż najczęściej napada na istotę bezbronną, która nie rozumie grzechu, która w niewinności swojej nie zna słów doniosłości. Kogoś więcej doświadczonego, każde z tych słów by uderzyło, i skłoniło do większej baczności. W braku wszelkiej próżności i zmysłowości, Alina mogła jednak narazić się na niebezpieczeństwo, a to przez zbytnią właśnie prawość i nadzwyczajną dobroć serca. Zaczynała już żałować, iż dotknęła księcia boleśnie, posądzając go o niecne zamiary, kiedy on miał względem niej chęci jak najlepsze. Nie mogła wprawdzie tym chęciom zadość uczynić, ale dla czegóż ma mu zakazywać ich wyjawienie, skoro nic w nich niema obrażającego? Rodzaj rozrzewnienia, a potrochę i ciekawość, wstrzymały Alinę, i nie dopuściły przerwać księciu słów jak potok rwą-

cych. Szła krokiem przyspieszonym, aby skrócić ich na sam, wyprzedzała go ciągle, unikała jego wzroku, słuch jednak wytężała, aby nie stracić ani słówka z wyznania miłosnego, które chciała by była tak gorąco! tak szalenie! usłyszeć z ust innych! Prawił jej więc szeroko i długo, jak na pierwszy rzut oka uczuł się podbitym i niejako odrodzonym, jak zerwał na zawsze z życiem złem, rozpustnem, nad którego nierządem, rozwodził się do przesady, wyobrażając sobie w swojej przewrotności, że to wyznanie poruszy tem bardziej serce młodej kobiety. Któraż bo kobieta, choćby była aniołem czystości, jest w stanie oprzeć się pragnieniu szlachetnemu zbawienia duszy, w otchłanie piekła lecącej?! Wspominał, iż przyjechawszy do Paryża, aby polampartować się przez dni kilka, zaniechał wszelkich uciech i przyjemności zakazanych, nie rozumiejąc i nie czerpiąc w czem innem roskoszy, tylko w obcowaniu z nią, w słuchaniu jej głosu, w upajaniu się jej widokiem, w oddychaniu tem samem co ona powietrzem. Odszukał w jej osobie ideał swojej najpierwszej młodości, który dotąd tkwił na dnie serca. Co prawda, nie jedno fałszywe bożyszcze zacierało na chwilę w jego umyśle, pojęcia wzniosłe o istocie, jak ona doskonałej. Po każdym jednak takim wybryku wracał bezwiednie do prawdziwego bóztwa swojego, i stawiał je znowu na ołtarzu serca, z czcią najwyższą. Gdy się nad tem zastanawia, ją tylko jedną ukochał, od kiedy siebie zapamięta! Szukał jej we wszystkich kobietach, zanim los szczęśliwy sprowadził ich razem, a nie mogąc w żadnej znaleść tej, o której marzył od dawna, nie bawił też długo przy żadnej. Znalazłszy nakoniec uosobistnienie najśmielszych marzeń swoich, nie pojmuje jakby potrafił żyć bez niej, dla tego przedłużał w nieskończoność pobyt swój w Paryżu, aby codzień ją widywać, dla tego pospieszył za nią do Rzymu, czując, że tęsknota do szaleństwa niemal go przywodzi

Alina czuła, że nie powinnaby słuchać tego wszystkiego. Pierwszy raz jednak mówiono jej o miłości, a jej lat dwadzieścia, odczuwały urok niepojęty, upajający, tego języka, pod którego wpływem roskosznym młodość rozkwita dopiero, jak ziemia pod pierwszemi, wiosennemi słońca pocałunkami.

— Gdyby on był tak do mnie przemawiał! — myślała w duchu, wyłącznie Gastonem zajęta. — Boże wielki! takie wyznanie z ust jego, takie uczucia w jego sercu!... byłby to nadmiar szczęścia!...

Żałowała księcia, iż kochał ją tak samo nadaremnie, jak ona innego pokochała; ta wspólna niedola była niejako węzłem pomiędzy nimi, i wzbudzała w niej sympatję bardzo żywą. Radaby ją była ubrać w słowa, odbijała się w jej cudnych fijołkowych źrenicach, łez pełnych, a to wzruszenie mimowolne książe mógł tłumaczyć po swojemu. Szukała po głowie coby mu powiedzieć, aby go przywieść do upamiętania, ale wszystko wydawało się jej nadto surowem. W rozpustniku salonowym, który jednym tchem prawił jej tyradę miłosną, wypróbowaną w licznych podbojach, śledząc pilnie o ile działa na nią słodka trucizna, widziała Don Żuana nawróconego, i wierzyła święcie, iż trzyma w swojej dłoni jego zbawienie, lub wieczne potępienie. Bała się go jeszcze potrochę, zaczynała się nim jednak interesować, i chciała była by go uzdrowić, i zachować jako wiernego przyjaciela. Milczenie jej przeciągające się w nieskończoność, wprawiało księcia w kłopot niemały; byli już o kilkadziesiąt kroków zaledwie od pałacyku, którego rysunek delikatny odbijał się na nieba lazurze, przy końcu głównej alei. Czy chce, nie dając mu żadnej stanowczej odpowiedzi, dojść aż do ławki, gdzie miss Ruth spoczywa? Czyżby miała taka dziewczyna niedoświadczona, jego w pole wyprowadzić? Starał się coś wyczytać w jej wzroku zamglonym, i aby przerwać czar, w który jak sądził, wtrąciło ją namiętne miłości wyznanie, dotknął się znowu nieśmiało i wahająco jej dłoni. Nie wyrwała mu ręki tym razem, stanęła tylko nagle w miejscu, gdzie pod kopułą z zieleni, tworzącej rodzaj sali okrągłej, dwie drogi rozchodziły się widełkowato, i rzekła tonem stanowczem, jakby się długo przedtem namyślała:

— Nie trzeba, żeby nas razem widziano. Nie wspomnę nikomu o naszem spotkaniu... Po co mamy tem Olgę niepokoić... a i moja miss poczciwa mogła by to fałszywie osądzić. Wszystko powinno zostać między nami. Jutro o ósmej rano udaj się pan do kościoła San-Carlo-al-Corso. Będę tam sama na mszy; wychodząc możemy przejść się cokolwiek razem. Dam panu najwyższy dowód zaufania, którego godnym cię uznaję, jeżeli to wszystko coś powiedział o twoich uczuciach, jest prawdą. Dziś nie potrafiłabym... nie mogę... Do zobaczenia!...

I wymknęła mu się, zostawiając osłupiałego i ubezwładnionego nagłością odniesionego zwycięztwa, bo że zwyciężył, czyż mógł o tem wątpić aby na chwilę?!... Skoro kobieta odkłada do jutra odpowiedź, którą mogłaby streścić w jednem „nie“ energicznem i stanowczem, gdy wchodzi w pewne układy i sama naznacza schadzkę temu, którego przezorność najprościejsza, nakazywałaby więcej nigdy w życiu nie widzieć, czyż tem samem nie potwierdza, iż serce i siebie całą mu oddaje? Aby to zrozumieć, nie trzeba nawet było tak wielkiego doświadczenia, jakie posiadał książe w sprawach tego rodzaju.

— Na pierwsze wezwanie! — myślał w duchu. — Szkoda było tylu wybiegów!... zwlekania tak długiego!. Mogłem się wcześniej ośmielić...

Po raz pierwszy w życiu osądził kobietę nadto korzystnie. Wydawała mu się tak spokojną, dumną, tak na pozór niezachwianą! Ba! zdarzają się podobne przeciwieństwa i nieprawdopodobności...

— Boska niespodzianka! — wycedził przez zęby, cytując frazes Stendhal'a, którego był zapalonym zwolennikiem.

I powiódł za nią oczami, z uśmiechem sceptyka, nie mniej jednak rozradowany. Była też istotnie cza-

rującą, w tym biegu chyżym, w którym małą stopką zaledwie ziemi dotykała, z kibicią smukłą a wiotką, z kształtami cudownemi, jakby wyszły z pod dłuta Canovy. Gdy zniknęła w klombie na prawo, on zwrócił się najspokojniej w lewo, sygaro zapaliwszy. Tym ruchem znalazł się naprzeciw jakiegoś przechodnia, który dotąd ukrywał się widocznie po za ścianą zieloną, z laurowych drzew strzyżonych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pogadanka.

Stało się!

Straszne widmo w postaci popielca jak duch Banka stanęło przed nami! Wśród roskosznych tonów walca zapomnieliśmy zupełnie, że jakiś tam popielec istnieje na świecie, że po sezonie pulchnych pączków następuje sezon „katzenjammerowych“ śledzi; że po ochoczych dźwiękach mazura trzeba spiewać gorzkie żale i zamiast pudru używać... popiołu.

Taka to już kolej rzeczy ludzkich.

Natura nawet pod tym względem okazuje się bardziej wyrozumiałą i względną, bo zanim nas uraczy skwarem lata, przygotowuje do tego ciepłą wiosną, a nim naszle mroźną zimę, wpierw przyzwyczaja chłodną jesienią. Nam nawet tak naturalnych względów nie zabezpieczono. My po tłustym wtorku w tej chwili wstępujemy w mroźny sezon popielcowy, a budząc się z dzwoniącymi jeszcze w pamięci tonami walca, spostrzegamy z przerażeniem stojący przy nas talerz ze śledziem, który (naturalnie nie talerz lecz śledź) swem wielkiem okiem spogląda na nas zimno i bezlitośnie...

Zbyt smutne to obrazy, by się nad niemi dłużej zastanawiać, przeto spuśćmy na nie zasłonę, a zwróćmy się raz jeszcze w ten barwny i roskoszny sezon, by odżyć choć wspomnieniem.

Otóż jakkolwiek królowi karnawału wyznaczono tego roku zbyt krótkie panowanie, wytańczyliśmy się jednak należycie. Ostatnie dwa tygodnie były jednym szeregiem ciągłych zabaw tak publicznych jak domowych, choć i w poprzednich tygodniach na brak ich uskarzać się nie było można. W ogóle wszystkie zabawy udały się świetnie, a ostatni bal lekarski przyćmił wszystkich swoich poprzedników. Ochocza jednak zabawa na balu tej miary nigdy mieć miejsca nie może, bo gdy sto dwadzieścia par stanie do kadryla w której bądź z naszych sal, czyż można mówić choć o wygodnem poruszaniu się? Wątpię w ogóle, by kto w chęci należytego wytańczenia się lub ochoczej zabawy szedł na bal podobny, cel zaś właściwy w uczęszczaniu naszych pań na takie bale, niech zostanie tajemnicą między mną a paniami.

Również tego roku jak i zawsze tańczono na dochód szpitalika św. Zofji, jednak wolała która z pań obecnych zamiast wytańcowywać dochód szpitalikowi, ofiarować błyskotki któremi każda z nich była obwieszona jak sklep jubilerski, a z pewnością z jednego takiego datku, byłby szpitalik więcej skorzystał, niż z bezpłatnego nadesłania kwiatów przez biednego ogrodnika i biletów wstępu. Nic mnie może tak nie irytuje, jak to rozsyłanie wzajemnych podziękowań za tańczenie noc całą na jakiś tam dochód i robienie sobie reklam po dziennikach. Rzeczywiście biedna ta nasza arystokracja nader się poświęca, opłacając bilet wstępu i tańcząc za to noc całą! Ha! trudno, trzeba sobie samym kadzić, gdy nikt nam kadzić nie chce!

Z kroniki balowej jeszcze zanotować muszę, że hr. Potocka urządziła dwa bale na dochód „Czerwonego krzyża“ i że rozpoczęcie tychże powiodło jej się lepiej, aniżeli rozpoczęcie balu prawników...

Przy końcu karnawału mieliśmy dwie reduty, na dochód konserwatorjum towarzystwa muzycznego i pomnika Mickiewicza, z których pierwsza, przynajmniej pod względem kasowym wypadła świetnie, druga zaś zaledwie koszta pokryła. Już to reduty nasze od lat kilku zupełnie podupadły i trudno, by się już kiedy podnieść mogły. Dziś na reduty uczęszcza prawie tylko półświatek i to gorszego kalibru, a z podsłuchanych dowcipów żadnego Wam powtórzyć nie mogę, z powodów łatwych do odgadnięcia.

Na zakończenie jak zwykle wstąpmy jeszcze do teatru.

We czwartek uraczyła nas dyrekcja dramatem 4 aktowym R. Hahna p. t. „Gambetta.“ Przyznam się szczerze, że nie spodziewałem się, by ustępująca dyrekcja zdolna była palnąć tak kolosalnego bąka i wystawić podobną sztukę! Jak można nam, Polakom, nie patrzącym się przez pryzmat pruskiej zawiści na stosunki we Francji, widzącym rzeczy jasno i trzeźwo, przedstawić bohaterskiego syna republiki jako nędznika w każdym kierunku, demokratę z szpiku i kości jako wzdychającego tylko do herbów i pargaminów i wstydzącego się własnego pochodzenia, dzielnego obrońcę i podporę republiki jako awanturnika i oszusta, który wyczekuje tylko chwili sposobnej, aby koronę cesarską włożyć na swe skronie, jak można powtarzam to wszystko kazać wysłuchać polskiej publiczności?! To też oburzenie w teatrze było ogólne i wiele osób w ciągu przedstawienia powychodziło z teatru, nie mogąc przysłuchiwać się szkalowaniu świeżo zgasłego bohatera. Że prusak tam jakiś w zawiści swej rodowej starał się przyćmić sławę choćby tylko prawego syna Francji i gorącego patrjoty, by zawistne szwaby miały się z czego śmiać przy bawarze, nie dziwi nas to wcale, lecz że nasza dyrekcja odważyła się przedstawić sztukę podobną, można tylko nad tem ubolewać. Najcharakterystyczniejszemi i najkomiczniejszemi z tego wszystkiego są słowa kilkakrotnie włożone z usta Gambetty, pełne pochwał i uwielbienia dla cesarza Wilhelma, Bismarka i Moltkego, słowa uniesień nad potęgą zewnętrzną i wewnętrzną Prus! Nie! to już trochę za bezczelne, wkładać podobne słowa w usta polityka odwetu! Charakterystyczną jest również łatka przyczepiona Sarze Bernhard (zapewne za wypuszczenie Niemiec z swej artystycznej wycieczki) wskutek pogłoski o rozwodzie z mężem. Tylko prusak na tak głupi i podły dowcip zdobyć się może!

W ogóle dyrekcja nader źle się zasłużyła scenie narodowej, wystawiając tę sztukę. Człowiek inteligentny zgniewa się nią tylko trochę lecz w końcu uśmieje z znanej głupoty i zarozumiałości niemieckiej, mniej zaś inteligentny, nie znający stosunków, wyniesie to przekonanie, jakie weń sztuka wpoiła.

Z obowiązku kronikarskiego jeszcze zanotować mi wypada, że znany z rozgłosu obraz Siemiradzkiego „Jaskinia Piratów“ przybył do Lwowa i wystawiony jest w hotelu Żorza. Inne dzienniki wyraziły już o nim swe zdanie i szerokie pomieściły krytyki, ja przeto uwolniony od szczegółowych opisów zleję mój głos z ogólnym akordem, że „Jaskinia Piratów“ zalicza się do nader udatnych lecz nie do najlepszych obrazów Siemiradzkiego.

Kwik-kwak.

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.